ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 9 grudnia 1922 roku. № 49.

Tajemnica Azji.

Prof. Antoni Ossendowski, znany eksplorator Azji, dzieli się z czytelnikami naszego pisma następującemi ciekawemi wrażeniami:

Tam, w głębi olbrzymiego kontynentu — kolebki ludów i kultur, za pustynią Gobi, za niebotycznemi szczytami Tannu-Ołu i Nań-Szaniu, za bezgraniczną błotnistą krainą Cajdamu — w Tybecie, niespodziewanie, na jedno mgnienie oka pogmatwane życie współczesne odsłoniło rąbek wielkiej, nikomu nieznanej tajemnicy.

— Słyszysz — szeptem zapytał mię pewnego razu, wstrzymując wielbłądy, na pograniczu Noron-Khuhu-Gobi stary Mongoł-przewodnik,—słyszysz, jak śpiewa powietrze?

Zacząłem wsłuchiwać się. Panowała cisza niczem nie zamącona, lecz gdzieś, jak gdyby bardzo wysoko, w przezroczu zimnego wieczornego nieba brzmiała jakaś nuta przeciągła, dźwięczna, a kojąca.

Czy to był dźwięk ze świata zewnętrznego? czy tętnienie krwi w skroniach? Czy może suggestja?

— Co to jest?—spytałem Mongoła.

— To *On*, „Wielki Nieznany", rozmawia z duszą swego zmarłego poprzednika i widzi oblicze Twórcy Świata! odparł starzec i w trwodze schylił się do samej ziemi.

Nastała długa chwila milczenia. Zdawało się, że wieki przemknęły przez ten krótki czas. Mongołowie szeptali tradycyjne modlitwy tybetańskie, wielbłądy cicho się pokładły. W przestworzu, już przesyconem szkarłatem zachodzącego słońca, wciąż drżała, płynąc w wysokości, ta sama cicha, wyraźna, kojąca nuta.

— Co się dzieje? — spytałem przewodnika, gdyśmy ruszyli dalej.

— To „Wielki Nieznany" mówił z Twórcą. W te błogie lecz straszliwe chwile ptaki nie latają, zwierzęta nie biegają. Patrz! Widzisz, jak pokładły się stada byków i owiec, jak trwożnie strzygą uszami konie w tabunach? W te chwile skradający się do owiec głodny i drapieżny wilk nie odważa się postąpić kroku, wąż czai się śród kamieni; z rąk mongolskiego pastucha, zamierzającego zarżnąć barana, wypada nóż; psy nie ujadają, drapieżne orły nie wypatrują zdobyczy. Wszystko zamiera w trwodze i oczekiwaniu... wyroku...

Tak mówił mi stary Mongoł przewodnik, a później w lamaickich i buddyjskich świątyniach i klasztorach i w pałacu „Żywego Buddy" powtórzyli mi to ze szczegółami uczeni maramba, surowi gełongi i „święci" gegeni i hutuhtu*).

Uczony gełong, kapelan księcia Czułtan-Bejle, podróżując ze mną z klasztoru Narabanczi do stolicy Zachodniej Mongolji — Uliassutaj, opowiedział mi:

— Było to bardzo dawno! 65.000 wiosen upłynęło od tego dnia, gdy świątobliwy Rama zrozumiał, że szkarłatny duch zła opanował ziemią. Lała się wszędzie krew i zbrodnia była w każdym namiocie. Wszedł Rama na szczyt Czorgołyk-Tagu i widział tam oblicze Twórcy i zaniósł mu skargi swoje, trwogę i tęsknotę.

I rzekł do niego Twórca:

— Wytęż rozum swój i przechowaj dobre ziarna dla dalekiego siewu! Po długich dniach i nocach rozmyślań Rama znowu stanął przed wielkiem obliczem i rzekł:

— Przetrwam, Twórco, z wiernymi Tobie, przecinając z dołu „szlak tygrysa"...

Z temi słowy Rama nakreślił na białej płycie kamiennej tajemnicze znaki, które widzimy w starych księgach buddyjskich i w rękopisach „Żółtej wiary" (patrz rys. № 1), przechowywanych w Sakkia, a nie wytłómaczonych przez najmądrzejszych.

№ 1.

Twórca zniknął z oczu Ramy, a górskie echo długo powtarzało wolę Bóstwa: „Dokonaj"!

Na zachodzie górskiego łańcucha Himalajów był kraj jaskiń i przepaści bezdennych. Tam udał się Rama, wiodąc ze sobą miljon wiernych, którzy nie chcieli iść szlakiem Tygrysa.

Od tego czasu znikł Rama i stado jego.

Mędrcy Buddyzmu, uczeni kapłani sekty Paspy, niektórzy Dałaj-Łamowie przed stuleciami wypadkowo wykryli tajemnicę Ramy.

Wielki i bogobojny mędrzec, który wzrokiem duszy przebijał niebieskie przestworza i twardą korę ziemi, zaprowadził i osiedlił wiernych w bezgranicznych podziemiach, które łączą się pomiędzy sobą.

Rama urządził życie tego narodu podziemi, kierując się wiedzą 22 tajemnic, a ta wiedza dała mu siłę do stworzenia nowego państwa ludzkiego—Aharty, gdzie zbrodnia, grzech i bezprawie umierały natychmiast, jak ryba, wyjęta z głębi morza, umiera na powierzchni ziemi pod promieniami palącego słońca.

Rama podzielił tajemnice między kastami ludności, a zrozumienie i panowanie nad wszystkiemi oddał wybranym w duchu, czyli „horo", którzy stanowili Najwyższą Radę.

Mądry Rama wkrótce zmarł.

Wtedy to wybuchły wielkie zamieszki wewnętrzne. Oto najniżsi zamierzyli być najwyższymi. Najmici Aharty, przybysze z powierzchni ziemi, podnieśli czerwony sztandar buntu. Zamiatacze ulic zaczęli wygłaszać mowy przeciwko Tajemni-

*) Nazwy wyższych buddyjskich kapłanów.

№ 2.

com i Misterjom; służba, zajęta w uczelniach, powzięła zamiar stać się uczonymi i magami. Powstańcy utworzyli jedno wielkie zgromadzenie Sziwu i rozpoczęli walkę z „horo" i innemi poświęconemi w duchu. Lecz nastąpił wielki wybuch w podziemiach Aharty i oddzielił Sziwu od wiernych. Powstańcy byli zmuszeni wyjść na powierzchnię ziemi, posiadając w postaci magicznych formuł i znaków okruszynę wielkiej nauki „Om". Dotąd żyją potomkowie wygnańców z Aharty. Są to dalekie północne plemiona, umiejące przez czarodziejów-szamanów wywoływać dusze zmarłych, rozcinać żywe ciało i zmuszać je do zrośnięcia się nanowo. Istnieje też rozrzucone po całym świecie plemię, znające tajemniczą sztukę wróżbiarską i siłę traw trujących. Z Aharty wyszło to plemię z nazwą przekleństwa—Bohami*), co znaczy „odejdź odemnie!"

W ciągu tysiącoleci wysoka nauka doszła do szczytu swojej potęgi. Uczeni i mędrcy Aharty posiadają władzę nad wszystkiemi widzialnemi i niewidzialnemi siłami ziemi, nieba, piekła, wody, ognia i powietrza.

Ludność Aharty rozmnożyła się do 40 miljonów, które w połowie przebywają w podziemnych grodach Aharty, w połowie zaś w dobrze ukrytych miejscowościach Azji Środkowej, Wschodniej i Południowej.

Cała ludność dzieli się na „dżidasów", czyli dwukrotnie zrodzonych; Jogów, czyli połączonych w Bogu; pandytów, czyli uczonych. Najwyższe szczeble stanowią 365 bahwanda—wielkich kapłanów; 12 horo, 21 czarnych i białych archy. Nareszcie widzimy dwuch pomocników „Władcy Świata": Mahytma-kierownik duszy wszechświata i Mahynga-kierownik sił wszechświata. Na szczycie Aharty stoi Brahytma, Władca Świata, opora dusz w duchu Bóstwa. Uczeni studjują coraz dalej i głębiej siły świata i ich zastosowanie w życiu, a szczyty Aharty sądzą losy grzesznej ludzkości.

W dzień pierwszego wiosennego słońca Brahytma zwołuje Najwyższą Radę i sądzi zamiary i czyny królów, kapłanów, wodzów i uczonych. Dobrym niewidzialnie dopomaga, złych doprowadza do zguby.

Po wielkim sądzie Brahytma udaje się do jaskini, gdzie spoczywa nabalsamowane ciało jego poprzednika i przykłada do swego czoła i serca złotą tablicę ze znakami zodjaku i magicznemi hierogramami. Na trumnie zapala się wtedy płomień, a z ciała zaczynają wypływać świetlne smugi, które otaczają całą postać Brahytmy. Wtedy on poznaje myśli zmarłego i wstępuje potem do świątyni Boga, gdzie nigdy nie odsłaniający swego oblicza czarny Archy, zwany Marzi, co znaczy „książę śmierci", zapala wielki ogień na ołtarzu i odchodzi. W ogniu zjawia się oblicze Twórcy, który wysłuchuje Brahytmę i oznajmia swą wolę.

Uczeni pandita i bahwanda posiadają władzę przenikania tam, dokąd może dotrzeć tylko myśl lub wyobraźnia ludzka. Im się udało zagłębić w „Akazę", która jest „wozem Przedwiecznego" i skarbcem jego boskich sił. Magowie posiadają

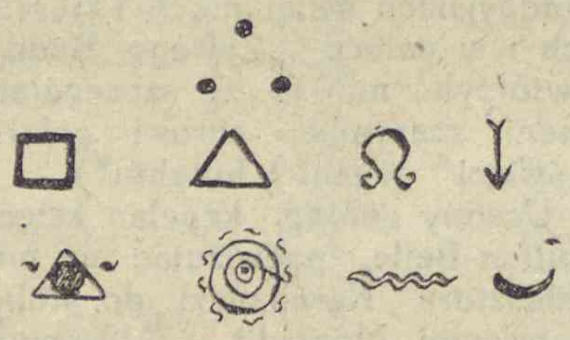

№ 3.

siłę posyłania panditów w przestworze nieba, w otchłań oceanu, w żar ognia. Tę siłę dała im nauka „Om", która pozwala zbadać życie i przemiany widzialnych i niewidzialnych materji i istot; widzieć istoty powietrza, ziemi, nieba i płomienia; poznawać znaczenie niewidzialnych potoków sił, mknących od północy do południa i od wschodu do zachodu ziemi; poznawać promienie, idące od ludzkiego ciała; studjować drogi, któremi suną w nieskończoności przestrzeni i czasu dusze zmarłych, szukające tajemniczej a błogiej góry Elbordżan; wstępować do piekła, gdzie istoty ognia wykuwają z hartownej stali i djamentów trwałe podstawy ziemi, tworzą wulkany i rodzą rzeki.

Horo i Bahwanda obmywają ciało pandyty exktraktem nieznanych traw, zatykają mu uszy, nozdrza i usta ziołami, owijają w białe płachty, na których kreślą tajemniczą mentramę, patrz. rys., 2 i wygłaszają wielkie zaklęcie.

Od tej chwili pandyta—wysłaniec staje się nieruchomym i twardszym

№ 4.

od najtwardszych kamieni, lecz wszystko słyszy, czuje i rozumie.

Siłą wzroku, rozkazem swej woli Horo zmusza nieruchome ciało unieść się z ziemi lub wbić się, jak strzała w jej twardą pierś.

Powróciwszy ze swej podróży, pandita opowiada i opisuje wszystko, co widział i słyszał w innych światach, w głębi mórz, w płomiennem wnętrzu ziemi, w oceanie powietrza.

Cała wysoka nauka Om jest zapisana pisownią „Watana". Jeden ze świętych Taszi-Łamów w Tybecie otrzymał pismo od Władcy Świata (patrz rys. № 3), a nie mógł go odczytać, więc poszedł do świątyni Buddy, długo pościł i modlił się, a później umieścił mosiężną tabliczkę, na której były wyryte znaki pisma i zrozumiał wolę Wielkiego Nieznanego.

Władca świata kilkakrotnie zjawiał się ludziom. Było to w Sjamie, w Dżirgałancie Indyjskiej, w Narabanczi Mongolskiej... Od jego wzroku uleczali się chorzy i kalecy i z grobów wstawali zmarli...

„I oto Wielki Nieznany czeka na chwilę swoją. Gdy czarne i czerwone duchy zła i grzechu opanują wszystkiemi narodami, wyjdzie On z Aharty i rzuci swoich bojowników przeciwko synom grzesznej ziemi, ziemi zbrodni, krwi i łez. Stanie się wtedy zadość sprawiedliwości, a będzie to straszliwy dzień ostatniego przelewu krwi i wymierzenia kary.

Pod sztandarem Wielkiego Nieznanego staną wszyscy buddyści, a potomkowie walecznego Dżengizchana walczyć będą na ich czele, zachęcając do zwycięstwa"...

Tak mówią uczeni lamaici...

Legenda, myt, czy cień prawdy jest w ich słowach?

Kto potrafi dać na to odpowiedź?

Jednak śród jaskrawo zabarwionych skał Ułan-Tajgi, otaczających bezdenne jezioro Nogan-Kul, widziałem jaskinię.

Gorąca para wodna i powietrze, siarką nasycone, wyrywały się z niej.

Na wschodniej zaś ścianie były znaki nieznane, wyryte przed wiekami. (Patrz rys. № 4).

Przewodnik, tubylec Urianchajski, stłumionym głosem, drżąc na całem ciele wyjąkał:

— Tu jest wejście do Aharty... Zachowajcie ciszę i skupienie ducha!..

Prof. Antoni Ossendowski.

*) Bohemicus, cyganie?

Ludwik Dumur Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

8)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

— Jestem nad wszelki wyraz zobowiązany, Wasza Cesarska Wysokość, ale zdawało mi się...

— Nie, nie; ja cię bardzo lubię. To już rzecz ułożona. Kiedy zechcesz...

— Przepraszam Waszą Cesarską Wysokość — rzekłem bardzo wzruszony. — Ale po tem nieszczęściu, jakie się stało...

— Po jakiem nieszczęściu?

— Ależ, Wasza Cesarska Wysokość... po zaaresztowaniu panny Rossignol...

— A! To prawda—zawołał Willy najswobodniejszym w świecie tonem.—Biedna dziewczyna... Ale też trzeba być głupią!..

— Przepraszam Waszą Cesarską Wysokość, że ośmielam się zapytać — rzekłem, udając zupełną nieświadomość — ale... za co ją zaaresztowano?

— Ah! głupstwo... Wyobraź sobie, mój drogi... podobno dawała znaki lotnikom... ukrywała zbiegłych jeńców... Ach! te Francuzki, wszystkie jednakie...

Zrozumiałem, że uznano za stosowne nie mówić nic księciu o istotnym powodzie zaaresztowania Julinki.

— A!—rzekłem tylko.

I kiwając głową głupkowato, dodałem:

— Kto by to był przypuścił!..

— Prawda!.. Ale to tak... Szpieg w spódnicy!..

Poczem, jakby poruszony jakimś mętnym żalem, wykrzyknął:

— Mogli byli zaczekać, aż się choć raz z nią prześpię!..

Teraz poruszyłem najważniejszą rzecz:

— A czy Waszej Cesarskiej Wysokości wiadomo, co się z nią stało?

— Zgoła nic. Trzeba się o to zapytać Kleina.

Byłem całkowicie zbity z tropu.

— Zresztą cała ta historja jest idjotyczna—rzekł Książę.—Ta mała miała taką piękną przyszłość przed sobą!..

— Po lewej stronie Waszej Casarskiej Wysokości?—ośmieliłem się zauważyć.

— Ależ nie; w Komedji Francuskiej.

Byłem coraz bardziej zdumiony tą obojętnością. Wnet jednak wyjaśniła mi się.

Z uśmiechem niepoprawnego kobieciarza, Kronprintz wyjął z portfelu fotografję i pokazał mi ją.

— Co mówisz o tej?

Zobaczyłem bardzo ładną, ośmnastoletnią może dziewczynę, ciemnowłosą, o pięknych oczach, ślicznych usteczkach i soczystym owalu. Ta chwila przypominała mi inną, kiedy to Sostenjusz Rossignol pokazał mi w Magdeburgu fotografję Julinki, i mgła przesłoniła mi oczy. Był to zresztą ten sam typ, tylko bez subtelnej filuterności Julinki.

— No i cóż? — pytał Książę ze znaczącym uśmiechem.

— Zachwycająca—rzekłem.

— Mój drogi; jestem zakochany do szaleństwa.

— Któż to taki?

— Widziałem ją w Charleville. Nazywa się Gabryela.

— To Francuzka?

— Tak — rzekł Książę, śmiejąc się.—Cóż chcesz, mój drogi.. przepadam za Francuzkami... Mam to już widocznie we krwi.

Tu spojrzał na zegarek w bransoletce, trzasnął szpicrutą o cholewę buta i, gwizdnąwszy na psy, rzekł:

— Słuchaj no, Hering, zabieram cię po południu do Charleville. Moi adjutanci są wszyscy w rozjazdach. Nie mam nikogo. Będziesz moim oficerem służbowym. Cóż ty na to?

— Wedle rozkazu Waszej Cesarskiej Wysokości.

— Przyjdź po mnie zaraz po obiedzie, o pierwszej.

I mrugnąwszy lubieżnie okiem, dodał:

— Zjemy dziś z nią kolację!

. . . . . .

Wolałem nie pokazywać się w kasynie i zjadłem obiad samotnie w małej oberży na Marktplatz. Na pięć minut przed pierwszą byłem w Château des Tilleuls. Kronprintz nie dał na siebie czekać. Był nadzwyczaj wyświeżony, wykrygowany, wyperfumowany, jak elegant, dążący na schadzkę miłosną.

O drugiej stanęliśmy przed kasynem Auto-Korpsu w Charleville.

Znajdowało się tam świetne towarzystwo. Nigdy jeszcze nie widziałem zgromadzonych tylu przedstawicieli znakomitych rodów w tak pięknych uniformach. Wszystko, co Niemcy posiadały, synów rodzin panujących, książęcych, feodalnych lub finansowych, których armja czynna nie zatrzymywała w swych kadrach, wszystko to zaciągało się do tego wspaniałego korpusu, do którego nie można było należeć, jeżeli się nie było albo bardzo utytułowanym, albo bardzo bogatym, albo, co najlepiej, i jednym i drugim.

Członkowie tego korpusu sami dostarczali swoich automobilów i swoich szoferów. Główne ich zajęcie było obwożenie znamienitych gości i przewożenie na tyły rozkazów Głównej Kwatery Jego Cesarskiej Mości. Auto-Korps miał na swojem czele księcia Waldemara pruskiego, syna księcia Henryka a siostrzeńca Cesarza.

Gdyśmy weszli, owionęły nas duszące wonie wykwintnych potraw i alkoholu. Stoły uginały się pod ciężarem owoców, srebrnych wanienek, karafek z likierami i dzbanów na kruszony, pudełek z cygarami, szkatułek z tytoniem. Na honorowem miejscu siedział książę Schaumbourg Lippe, obdarzony świeżo orderem „Krzyża Zasługi", którą to uroczystość dziś właśnie obchodzono. Otyły, spocony, z obręczą błękitnej emalji o czterech złocistych koronach na szyi ponad szamerunkami generała huzarów, miał po prawej stronie księcia Waldemara, chuderlawego, bladego kalekę, który z cierpiącym wyrazem na swej chudej twarzy spoglądał na tę całą bachanalję, mając przed sobą filiżankę z ziółkami.

Wejście Kronprintza powitano hałaśliwemi „hurra". Ci, którzy jeszcze mogli utrzymać się na nogach, cisnęli się ku niemu, on zaś, uśmiechnięty, ruchliwy, rozdający uściski dłoni na prawo i lewo, zbliżył się do księcia Schaumbourg Lippe, żeby mu powinszować.

— A! to bardzo pięknie, bardzo pięknie, mój siostrzeńcze, żeś przybył — bełkotał tamten całkowicie urznięty. — To bardzo pięknie!..

Nalano dwa olbrzymie kielichy koniaku. Trącili się. Nowy dygnitarz wychylił swój jednym haustem, podczas gdy Kronprintz umaczał zaledwie usta w swoim. Poczem ucałowali się.

— A! To bardzo pięknie!..—powtarzał książę Schaumbourg Lippe z uporem pijaka.

Po upływie kilku minut, Kronprintz, któremu się widocznie śpieszyło, zaczął się żegnać.

— Znajdę cię o szóstej w Wielkim Sztabie—rzucił mi na odchodnem.

Usiadłem obok barona von Werthau.

— Gdzie on idzie? — zapytałem i opowiedziałem mu o zwierzeniu,

jakie mi uczynił Kronprintz, i fotografji, jaką mi pokazał.

Baron uśmiechał się, wzruszał ramionami i kiwał głową naprzemian.

— Jest zadurzony po uszy!.. — powtarzał.

— Któż to taki?—zapytałem.

Wybuchnął śmiechem.

— Nie mogę ci powiedzieć... Doprawdy, nie mogę... To nie do wiary.

Byłem mocno zaintrygowany. Ale inna rzecz leżała mi bardziej na sercu. Baron musiał oczywiście wiedzieć o zaaresztowaniu Julinki. Ale spostrzegłem wnet, że wiedział tyle właśnie, co Kronprintz, z tą różnicą, że odniósł się z widocznem współczuciem do mojej troski, za co byłem mu serdecznie wdzięczny.

— Słuchaj—rzekł—postaram się wybadać Bauera, dyrektora tajnej policji. Trzebaby się istotnie dowiedzieć, co się stało z tą nieszczęśliwą, uroczą Francuzeczką. Może to, o co ją oskarżają, nie jest tak dalece ważnem.

— Błagam cię—rzekłem—a jeżeli można ją uratować, uratujmy ją.

— Kochasz ją zawsze?—zapytał.

— Niestety! — odpowiedziałem, obcierając sobie oczy, jak niedorostek.

Wyszliśmy wkrótce potem z kasyna, gdzie uczta zamieniła się w orgję, i baron zaczął oprowadzać mnie po Charleville.

O kilka kroków od kasyna, od strony dworca ulica zagrodzona była linją straży żandarmerji, oznaczającą granicę Wielkiej Kwatery Jego Cesarskiej Mości, poza którą nikt nie mógł przejść, jeżeli nie był oficerem, lub nie posiadał przepustki.

Główna Kwatera zajmowała obszerną przestrzeń na wschód od miasta, a środkową jej część tworzyło dokoła wspaniałego parku sześć przepysznych willi nowoczesnej budowy, z których jedna, nieco w tył cofnięta, była rezydencją osobistą Cesarza.

Nic dziwnego, że ta część Głównej Kwatery przedstawiała widok niesłychanie świetny i ożywiony. Niezliczone automobile krążyły majestatycznie, obwożąc kapiących od złota generałów, wśród których przewijały się mniej błyszczące, ale równie dostojne postacie ambasadorów, ministrów i innych wysokich urzędników; tu i owdzie cudzoziemskie mundury urozmaicały czerwonemi lub złotemi plamami szare masy płynących od strony dworca nieprzerwanym potokiem oddziałów wszelakiej broni. Słychać było słowa komendy i dźwięki trąb; pośrodku placu Dworca grała hałaśliwie muzyka pułkowa.

Im dalej od tego imponującego środowiska, tem częściej lecz w każdym razie niezbyt często spotykało się rdzennych mieszkańców Charleville tak zwanych przez Niemców Karolopolitańczyków, na których szczególne baczenie dawali gęsto snujący się policjanci z Landssturmu. Ci wybladli, wychudzeni, o wystraszonych twarzach Francuzi musieli kłaniać się wszystkim oficerom, ustępować im z trotuarów, pokazywać na każde żądanie świadectwa tożsamości i stosować się ściśle do najdokuczliwszych przepisów stanu oblężenia.

Ale to, co mnie przedewszystkiem uderzyło, to mnogość kobiet, snujących się po ulicach, i to kobiet, co do rzemiosła których nie mogło być żadnej wątpliwości. Podzieliłem się tem spostrzeżeniem z baronem von Werthau, a on mi z uśmiechem przytaknął, nadmieniając, że całe Charleville pełne było domów rozpusty, znajdujących się pod jurysdykcją doktora Wetzla, cesarskiego lekarza.

Prym trzymał tu zakład niejakiego pana Beurier, który prowadził go jeszcze przed wojną wraz ze swoją magnifiką ku pełnemu zadowoleniu miejscowej ludności i swojej własnej kieszeni, a który i teraz, po zajęciu Charleville przez nasze wojska, robił wspaniałe interesy pomimo ciągłych kontrybucji, komisji, podatków, jakiemi go doktór Wetzel bezustannie obarczał. Ten pan Beurier był prócz tego ojcem ślicznej, ośmnastoletniej córki o cudnych, czarnych oczach i delikatnych rysach.

Baron von Werthau udzielał mi tych wszystkich szczegółów z takim szczególnym naciskiem, że mnie to tknęło.

— Jak jej na imię?—zapytałem.

— Gabryela.

— Gabryela! — wykrzyknąłem z osłupieniem.

Baron rozśmiał się pogardliwie i cynicznie zarazem.

— Tak, mój drogi; to jej fotografję nosi Kronprintz w portfelu.

Mąciło mi się w głowie.

— To niemożliwe!

— A jednak prawdziwe.

— Kronprintz... Kronprintz byłby kochankiem córki właściciela lupanaru! Nie mogę temu uwierzyć.

— Nie wiem—ponowił po chwili baron — czy Gabryela, piękna Gabcia, jak ją nazywa, jest już jego kochanką. Dziewczyna nie jest głupia i może się droczy. W każdym razie Kronprintz jest w niej zadurzony powyżej uszu, o niej tylko myśli i mówi. Julinka Rossignol poszła całkowicie w kąt.

— A czy Kronprintz wie—zapytałem zdławionym głosem — jakie rzemiosło uprawiają jej rodzice?

— Niewątpliwie. Poznał ją przypadkiem na ulicy, gdy szła ze służącą. Swoim zwyczajem, spostrzegłszy ładną twarzyczkę, wysiadł z automobilu, zaczepił ją, zapytał, gdzie mieszka, nagadał jej moc komplementów i rozkochał się na poczekaniu. Tego samego dnia posłał jej bukiet z bilecikiem na bulwar Gambette, gdzie Gabryela mieszka od niedawna z rodzicami. Jeżeli narazie nie wiedział, kto ona, musiano mu wnet objaśnić, bo zna ją całe Charleville. Każdy mógł ją widzieć przy ulicy Grarieére, jak pomagała matce, prowadząc kasę, licząc bieliznę, rozdając numery pokojów i wogóle przyczyniając się gorliwie do zebrania tego półmiljona franków, jakie ojciec Beurier zamierza dać jej w posagu, bo ojciec Beurier ma silne postanowienie wydać ją zamąż przed merem, proboszczem, a potem przekazać jej prowadzenie w dalszym ciągu swego tak bardzo korzystnego handlu.

Wszystko to, co baron von Werthau opowiadał mi swoim drwiąco-spokojnym tonikiem, przewracało mi poprostu wnętrzności. Byłem przygotowany na wiele rzeczy ze strony Kronprintza, ale to już przechodziło wszelkie wyobrażenie.

— I Książę jest teraz z nią?

— Niewątpliwie. Gdy tak śpiesznie opuścił kasyno, to bądź pewien, że dlatego, aby polecić do La Friture.

— Cóż to takiego — zapytałem zaskoczony tą nową tajemnicą.

— La Friture, to kawiarnia podmiejska, ulubione miejsce rozrywek, gdzie latem młodzież tutejsza uczęszcza, aby się bawić, upijać i tańczyć. Miejsce wymarzone dla miłosnych schadzek. Kronprintz jest tam stałym gościem, a właścicielka, niejaka pani Claudot, sprytna kobiecina, ułatwia mu różne spotkania; i to u niej zapewne książę znajduje się w tej chwili i u niej zapewne będziesz dziś na kolacji, skoro Książę raczył cię zaprosić, by się pochwalić swą nową zdobyczą.

— Wielce obowiązany, za ten zaszczyt.

Dalszy ciąg nastąpi.